

## Rozdział I

# Najstarsza opowieść na świecie

Niewiele jest rzeczy, które są w stanie odciągnąć studenta college'u od baru. Męska część populacji studenckiej charakteryzuje się ogromnym i pierwotnym apetytem na jedzenie, nawet to barowe. To samo dotyczyło mnie jako studenta i jako mężczyzny, podobnego do wszystkich innych uczących się w Grove City College.

A jednak pewnego jesiennego dnia odkryłem moc natury, która przebiła nawet potrzebę jedzenia. Nazywała się Kimberly Kirk.

Wypatrzyłem ją, kiedy grała na pianinie tuż obok sali jadalnej. Grała pięknie, lecz sama muzyka, nawet w najlepszym wydaniu – a grane przez nią utwory były naprawdę znakomite – nie zajmuje zbyt wysokiego miejsca w męsko-studenckiej hierarchii zainteresowań.

Stojąc w pewnej odległości, mogłem zobaczyć, że młoda kobieta przy pianinie ma uroczą fryzurę i jeszcze bardziej uroczy uśmiech.

Podszedłem do niej i pomiędzy kolejnymi utworami spróbowałem nawiązać z nią niezobowiązującą rozmowę. Dowiedziałem się, że jest bardzo zaangażowana w działalność teatralną, interesuje się literaturą, a jej specjalizacją jest komunikacja wizualna. Utwory, które grała, były jej autorstwa, i to było wspaniałe. A potem zaśpiewała do własnego akompaniamentu, a ja pomyślałem sobie: „Mogłaby w ten sposób zarabiać na życie”.

Wiedziałem, że powinienem sobie pójść i to szybko. Scott Hahn nie może się zakochać w kolejnej kobiecie. Widzicie, na krótko przed tym spotkaniem podjąłem stanowczą decyzję o nieangażowaniu się w żadne romantyczne historie. Po kilku związkach doszedłem do wniosku, że damsko-męskie relacje są emocjonalną pułapką, całą baterią umysłowo-uczuciowych gier, raniących i wystawiających na zranienie. Miałem dość. Poza tym miałem już potrójną specjalizację w ekonomii, filozofii i historii oraz posadę asystenta. Po prostu nie miałem czasu.

I dlatego tamtego jesiennego dnia powiedziałem tylko grzecznie: „miło było cię poznać” i udałem się z powrotem do baru.

Jednak jakaś ważna część mnie miała na ten temat inne zdanie. Kilka dni później, kiedy szedłem przez uczelniany dziedziniec, spostrzegłem Kimberly Kirk oddaloną ode mnie o jakąś połowę jego długości. Obserwując jak idzie, pomyślałem: „Chłopie, ależ ona jest piękna”. A potem, wracając myślą do naszego spotkania w sali jadalnej: „a w dodatku bardzo inteligentna i uzdolniona muzycznie...”.

Postanowiłem jednak dalej trwać w swoim postanowieniu. Nie mogłem zaprosić jej na randkę. W tamtym okresie mojego życia żadne randki nie wchodziły w grę, nawet z kobietą tak powalająco piękną, błyskotliwą i utalentowaną. Nie, nie mogłem tego uczynić.

Zrobiłem więc następny krok – najlepszy z tych, które mogłem wówczas zrobić. Zapytałem ją, czy nie przyłączyłaby się ze mną do Young Life, programu duszpasterskiego, który pomagałem rozkręcić w miejscowej szkole średniej. Ku mojej radości zgodziła się, nie wspominając ani słowem o tym, że - jedną z osób, które dwadzieścia lat wcześniej założyły Young Life, był jej ojciec!

Właśnie wtedy, dzieląc z nią tę posługę, naprawdę *ujrzałem* Kimberly Kirk. Jej wiara i ewangeliczna gorliwość przewyższały jej pozostałe przymioty. Nigdy nie czułem się zmęczony jej towarzystwem. Wkrótce spędzaliśmy razem po cztery, pięć, sześć godzin dziennie, wieńcząc czas pracy bitwami na kulki śnieżne, długimi spacerami, rozmowami i muzyką, słodką muzyką.

W ciągu miesiąca moje twarde postanowienie wyparowało. Było już po mnie. Kimberly Kirk i ja zakochaliśmy się w sobie.

Nie chcę was zanudzać osobistymi szczegółami. Zdaję sobie sprawę, że w naszej historii nie ma nic wyjątkowego. Spotkaliśmy się; odkryliśmy, że ta druga osoba bardzo nas pociąga, staraliśmy się za

wszelką cenę to powstrzymać i robiliśmy to tak długo, jak daliśmy radę. Chłopak spotyka dziewczynę: bez wątpienia jest to najstarsza opowieść na świecie.

## Najbardziej samotną liczbą jest jeden

Kiedy chrześcijanie i żydzi opowiadają historię ludzkości, rozpoczynają od tego, że Bóg stworzył człowieka imieniem Adam. „Adam” to imię pojedynczego człowieka, ojca rodzaju ludzkiego, ale nie tylko. W języku hebrajskim słowo to oznacza również „ludzkość”, „człowieczeństwo”. To trochę tak, jak Amerykanie używają słowa „Washington”, które może oznaczać zarówno pierwszego prezydenta ich kraju, jak i stolicę ich państwa czy rząd. Historia Washingtona jest w pewnym sensie historią Ameryki. Jednak historia Adama to coś znacznie więcej. Należy jednocześnie do wszystkich narodów świata i do każdego człowieka. Jest naszą historią: Kimberly i moją, a także waszą.

Przyjrzyjmy się jeszcze raz tej jednej z pierwszych opowieści biblijnych. *Księga Rodzaju* zaczyna się od opisu stworzenia świata przez Boga. W ciągu sześciu kolejnych „dni” Bóg stworzył wszystko: noc i dzień, niebo i morza, słońce, księżyc i gwiazdy, ptaki, ryby i zwierzęta lądowe. Po każdym akcie stwórczym Bóg spoglądał na to, co uczynił, i stwierdzał, że jest to „dobre”. Szóstego dnia jako ukoronowanie swego dzieła Bóg stworzył człowieka i powierzył mu panowanie nad całą ziemią. Po czym – a jest to jedyny taki moment – spojrział na swe dzieło i stwierdził, że jest ono „bardzo dobre” (Rdz 1, 31).

Z następnego rozdziału *Księgi Rodzaju* dowiadujemy się, że Bóg urządził cały świat tak, aby sprawiał człowiekowi radość. „Na rozkaz Pana Boga wyrosły z gleby wszelkie drzewa miłe z wyglądu i smaczny owoc rodzące” (Rdz 2, 9). Bóg dał Adamowi ten bujny, żyzny ogród, aby go uprawiał i opiekował się nim. Adam żył więc w świecie niejako zaprojektowanym dla jego przyjemności, świecie bez grzechu, cierpienia czy chorób, świecie, gdzie praca zawsze dawała efekty, świecie, który – jak mówi *Księga Rodzaju* – był nieskończenie *dobry*.

Bóg jednak przyjrzał się tej sytuacji i po raz pierwszy na kartach Pisma Świętego stwierdził, że coś nie jest dobre. Rzekł: „Nie jest dobrze, aby mężczyzna był sam” (Rdz 2, 18)<sup>1</sup>.

Cóż za niezwykle znaczące stwierdzenie! Trzeba pamiętać, że ma to miejsce przed upadkiem ludzkości, zanim w stworzenie wkroczył grzech i nieporządek. Adam żył w ziemskim raju, jako dziecko Boga uczynione na Jego obraz (Rdz 1, 27). A jednak coś „nie było dobre”. Coś było niepełne. Człowiek był samotny.

Bóg od razu poczynił odpowiednie kroki, aby zaradzić tej sytuacji. Rzekł: „Uczynię zatem odpowiednią dla niego pomoc” (Rdz 2, 18). Przyprowadził do człowieka wszystkie zwierzęta i polecił mu, aby skorzystał z władzy, jaką miał nad nimi i nadał im nazwy.

Sprawy jednak ciągle nie miały się dobrze, bowiem: „nie znalazła się pomoc odpowiednia dla mężczyzny” (Rdz 2, 20). Zatem chociaż Adam panował nad zwierzętami, chociaż mógł cieszyć się owocną, przynoszącą efekty pracą, ciągle był niespełniony. Bóg stworzył mężczyznę tego samego dnia, co zwierzęta, ale uczynił go różnym od zwierząt. Tylko człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boże. I właśnie dlatego, mimo że towarzyszyły mu wszystkie zwierzęta świata, człowiek czuł się sam na ziemi.

To, o czym czytamy potem w *Księdze Rodzaju*, stanowi samo sedno każdej historii miłosnej:

„Wtedy to Pan sprawił, że mężczyzna pogrążył się w głębokim śnie, i gdy spał, wyjął jedno z jego żeber, a miejsce to zapełnił ciałem. Po czym Pan Bóg z żebra, które wyjął z mężczyzny, zbudował niewiastę. A gdy ją przyprowadził do mężczyzny, mężczyzna powiedział: «Ta dopiero jest kością z mojej kości i ciałem z mojego ciała! Ta będzie się zwała niewiastą, bo ta z mężczyzny została wzięta»” (Rdz 2, 21–23).

Świat Adama wydawał się być idealny. Miał on dobre zajęcie, piękny dom, posłuszny inwentarz i mnóstwo rzeczy, które go zajmowały. A jednak był niepełny. Choć został stworzony na „obraz Boga”, pełnię osiągnął dopiero wtedy, kiedy do jego życia wkroczyła kobieta, Ewa. Mężczyzna i jego żona stali

się „jednym ciałem” (Rdz 2, 24). „Stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz, na obraz Boży go stworzył: stworzył mężczyznę i niewiastę” (Rdz 1, 27).

Adam już nigdy więcej nie powinien doznać samotności – wszak teraz jest przy nim Ewa, a oboje żyją w świecie doskonałym. Mógł więc przekonać się, że w życiu chodzi o coś więcej niż owocna praca, piękny dom i władza. Tym czymś jest prawdziwie ludzka miłość. Jednak wyjście Adama z samotności to nie tylko doskonałe małżeństwo i „odpowiednia dla niego pomoc”, bowiem „Bóg im błogosławił, mówiąc do nich: «Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię»” (Rdz 1, 28).

Człowiek stał się w pełni obrazem Bożym dopiero wraz ze stworzeniem rodziny. Dopiero wówczas Eden stał się rzeczywiście rajem.

## Z Ogrodu do lasu

Chłopak spotyka dziewczynę. Adam spotyka Ewę. Scott spotyka Kimberly. Znać tę historię. Jest ona tematem większości filmów, powieści, dawnych eposów i popularnych piosenek. Stanowi treść naszych najśladźszych wspomnień, najgłębszych tęsknot i najbardziej dojmujących pragnień. Nie jest dobrze być samemu.

Zawsze, kiedy czytam tę najstarszą opowieść świata, mimowolnie ogarnia mnie nostalgia i poczucie, że historia Adama jest również moją historią. Wydawało mi się, że mam wszystko, czego potrzebuję do życia: trzy akademickie specjalizacje, z których każdą uważałem za fascynującą, aktywną i satysfakcjonującą działalność duszpasterską wśród młodzieży, no i oczywiście jeszcze bar. Mieszkałem w obsadzonym drzewami kampusie, który był przyjemny dla oka, działał stymulująco dla pracy umysłowej i obfitował w miejsca, gdzie można było dobrze zjeść. Nie wiedziałem nawet, że jestem niekompletny. Nie mogłem tego wiedzieć, dopóki nie ujrzałem tego, czego mi brakowało.

Bóg nie stworzył mnie wyłącznie dla filozofii, ekonomii, teologii czy duszpasterstwa, niezależnie od tego, jak dobre mogą być to rzeczy, lecz dla czegoś o wiele większego od nich. Bóg stworzył mnie dla Kimberly Kirk. Jego obraz we mnie zaczął się dopełniać dopiero od momentu, w którym odpowiedziałem „tak” na Jego wezwanie, abym ją poślubił.

Bóg stworzył mnie, ciebie i każdego człowieka na ziemi dla rodziny. Wszystkie rzeczy stworzone, których możemy doświadczać zmysłowo, są *dobre*, ale *nie jest dla nas dobre* pozostawać samymi.

Coś, co możemy określić jako imperatyw rodzinny, funkcjonuje w naszej kulturze jako swojego rodzaju podstawowe założenie. Znane jest ono na uniwersytetach i dlatego środowiska akademickie starają się przedstawić same siebie w taki sposób, aby nastolatki, którzy właśnie opuścili dom rodzinny, mieli wrażenie, że odnaleźli jego namiastkę. Udaje się to całkiem dobrze, a przyjaźnie z czasów studenckich trwają często przez całe życie. W korespondencji, jaką college, do którego uczęszczałem, prowadził z absolwentami, samą uczelnię często określano jako *alma mater*, co po łacinie znaczy „karmiąca matka”. Kampus dzieli się na *fraternities* i *sororities* (dosłownie: „braterstwa” i „siostrzeństwa”), a każdego roku świętuje się w nim tydzień „powrotu do domu”. Ludzie działający w stowarzyszeniach absolwenckich wiedzą, że dokąd udaje się podtrzymać ten cały zespół skojarzeń rodzinnych, dotąd mogą się spodziewać, że ludzie tacy jak ja będą skłonni przekazywać pieniądze na rzecz „domu” czyli Grove City College'u.

## Nie twój Ogród – różne rodziny

Wiedzą o tym specjaliści od uczelnianego marketingu, wiemy i my. Zostaliśmy stworzeni dla rodziny. Dla wielu ludzi fakt ten jest sam przez się zrozumiały; jednak dla innych stanowi tylko pustą obietnicę, stwierdzenie całkowicie niewiarygodne. Przez kilka ostatnich pokoleń daje się zauważyć wielki upadek instytucji rodziny. Przez całe wieki większość małżeństw kończyła się wraz ze śmiercią jednego z małżonków. Dzisiaj wiele małżeństw kończy się w gorzki sposób – rozwodem. Wiele dzieci musi pogodzić się z poczuciem opuszczenia przez jedno lub oboje rodziców. Wielu dorosłych zmaga

się z gniewem i traumatyczną świadomością zdrady. Dysfunkcja rodziny ma już charakter epidemii, jeśli nie pandemii.

Dla ofiar takiego stanu rzeczy słowo „rodzina” bynajmniej nie przywołuje szczęśliwych wspomnień i przyjemnych skojarzeń. Wydaje się im okrucieństwem ze strony Boga stworzenie nas po to, abyśmy musieli żyć wśród zdrady, nieżyczliwości, a nawet wyzwisk czy obelg.

Ci, którzy wyrosli w rodzinach dysfunkcyjnych albo zostali zdradzeni przez tych, których kochali, wiedzą, że zostali pozbawieni *jakiegoś wielkiego dobra*. Ich gniew, gorycz i smutek są tak miazdzące właśnie dlatego, że są świadomi, iż brakuje im czegoś *niezwykle istotnego*. Zostali pozbawieni czegoś, *do czego mieli prawo*. Pielęgnują głęboką ranę, która jest znakiem, że coś w naturze zostało przebite, rozcięte lub złamane.

Rana ta świadczy o tym, że ludziom tym brakuje tego, co powinna dawać rodzina. Ich rodziny nie były takie, jakie być powinny, nie realizowały stwórczego Bożego zamysłu. Wina zatem nie leży po stronie Stwórcy, ale po stronie poszczególnych rodzin, które odeszły od Jego planu. Można bez wątpienia stwierdzić, że korzenie dysfunkcji rodziny leżą w grzechu pierworodnym; bowiem rodzina nie jest z pewnością czymś, co Bóg wymyślił, aby nas torturować.

W rzeczywistości prawdziwą nadzieję na odzyskanie pełni życia i szczęścia możemy żywić jedynie wówczas, kiedy odkryjemy Boży zamysł rodziny, wynikający z aktu stworzenia. *Katechizm Kościoła Katolickiego* uczy nas, że wszyscy musimy „oczyścić nasze serca” z wszelkich „fałszywych (...) wyobrażeń ojca lub matki, które wpływają na naszą relację do Boga. Bóg, nasz Ojciec, przekracza kategorie świata stworzonego. Odnosić nasze idee w tej dziedzinie do Niego lub przeciw Niemu, byłoby tworzeniem bożków po to, by je czcić lub burzyć. Modlić się do Ojca, znaczy wejść w Jego misterium, według tego, jaki jest On sam i jakim objawił Go nam Jego Syn” (KKK nr 2779).

Musimy podjąć wysiłek takiego oczyszczenia, gdyż Boży zamysł co do rodziny to nie tylko recepta na uporządkowane życie domowe (choć to oczywiście również). Jest on spełnieniem naszych najgłębszych tęsknot: za miłością, rodziną, domem. Jest ożywieniem pierwszej, gorącej miłości, do radowania się którą – przez wieczność – zostaliśmy stworzeni. Mało tego, stanowi on tytuł własności dóbr rodzinnych, których nikt, nawet poborca podatkowy, nie może nam odebrać. I wreszcie, objawia się w nim sam Bóg, w swoim najgłębszym misterium.

Rodzina jest bowiem samym rdzeniem ludzkiego doświadczenia, czymś, co jest nam wszystkim znane i co do czego większość z nas ma pewność, że to rozumie. Tymczasem Boga w Błogosławionej Trójcy pojmujemy w kategoriach czegoś nieskończenie przekraczającego granice naszych umysłów, dalekiego, abstrakcyjnego i niedostępnego. Byłbym skłonny stwierdzić coś przeciwnego: że w rzeczywistości *nie rozumiemy* tego, co nam się wydaje, że pojmujemy – tzn. istoty rodziny – oraz że posiadamy klucz do zrozumienia tego, co wydaje nam się nieprzeniknione, czyli Trójcy Świętej<sup>2</sup>.

## Narodziny, które jednoczą

Wierzę w to wszystko, ponieważ doświadczyłem tego. Poślubiłem Kimberly Kirk 18. sierpnia 1979 roku. Stworzyliśmy dom i poznaliśmy radość i przyjemność płynące ze zjednoczenia mężczyzny i kobiety. Jednak to nie dzięki ekstazie naszej cielesnej jedności – choć na pewno w jakiejś mierze ona również się do tego przyczyniła – zrozumiałem po raz pierwszy, jak bardzo wyraźnym odbiciem życia Boga jest rodzina.

Pierwsze objawienie przyszło do mnie w czasie, kiedy Kimberly była już dziewięć i pół miesiąca w ciąży z naszym pierwszym dzieckiem. Jej ciało nabrało nowych proporcji i wówczas o wiele bardziej niż wcześniej zdałem sobie sprawę, że nie zostało ono stworzone wyłącznie do tego, abym ja się nim radował. To, czego pięknem się cieszyłem, stawało się teraz środkiem do wspanialszego celu.

Kiedy Kimberly poczuła pierwsze bóle porodowe, pośpieszyliśmy do szpitala przekonani, że już wkrótce będziemy trzymali w ramionach nasze dziecko. Jednak już na samym początku okazało się, że poród będzie trudny. Żartowałem, że gdyby mężczyźni mogli zachodzić w ciążę, rodzaj ludzki wymarłby krótko po jego stworzeniu.

Godziny ciężkiego porodu wlokły się, a ból Kimberly stawał coraz większy. Moje serce zadało wówczas kłam moim żartom, bo w tym momencie bardzo chętnie wziąłbym na siebie jej cierpienie.

Tak minął dzień, potem noc i rozpoczął się kolejny dzień. Po trzydziestu godzinach lekarz stwierdził niewielki postęp i zarządził cesarskie cięcie. W żaden sposób nie odpowiadało to temu, jak wyobrażaliśmy sobie właściwy bieg spraw, ale zrozumieliśmy, że wybór nie należy już do nas.

Wyczerpany patrzyłem, jak pielęgniarki przenoszą Kimberly na łóżko na kółkach i wiozą korytarzem do innego pomieszczenia. Szedłem obok, trzymając ją za rękę, modląc się z nią i opowiadając dowcipy czy cokolwiek, aby podnieść ją na duchu.

Kiedy dotarliśmy do sali operacyjnej, pielęgniarki znowu przeniosły Kimberly, tym razem na stół, gdzie przypięły ją pasami i starały się ją uspokoić. Była wyziębiona, drżąca i przestraszona.

Stałem obok mojej żony. Jej ciało było rozciągnięte i przywiązane do stołu jak do krzyża, rozcięte na oścież, aby wydać na świat nowe życie.

Nic, co o tych sprawach słyszałem od swojego taty albo uczyłem się na lekcjach biologii w szkole średniej, nie mogło przygotować mnie na ten moment. Lekarz pozwolił mi zostać i przyglądać się operacji. Kiedy chirurg wykonał nacięcie, zobaczyłem wszystkie najważniejsze organy Kimberly. „Zaprawdę”, pomyślałem, „przerazająco i cudownie jesteśmy stworzeni”. I wtedy przyszedł moment, kiedy spośród tych organów, przy pomocy ostrożnych ruchów rąk lekarza, wyłoniło się piękne ciało mojego chłopca, mojego pierworodnego syna, Michaela.

Ciało Kimberly stało się wówczas dla mnie *więcej* niż piękne. Było skrwawione, rozcięte, przepelnione bólem, a ja patrzyłem na nie jak na coś sakralnego, żyjącą świątynię, święte sanktuarium i ołtarz życiodajnej ofiary.

To życie, które stworzyliśmy wspólnie z Bogiem, a które ona wydała na świat, mogłem teraz oglądać i dotykać rękami. W intymną jedność naszego domu wkroczyła trzecia osoba. Dla mnie, dla nas obojga, był to początek czegoś nowego. Bóg wziął dwa promienne spojrzenia oblubieńców i przekierował je, lecz nie stały się przez to mniej promienne i mniej pełne miłości. Teraz było nas już troje w szczęśliwym domu, a miłość prowadziła nas ku domowi jeszcze szczęśliwzemu.

Bóg wie, że nie jest dobrze, by człowiek był sam. On nie chce, abyśmy byli sami. Jest to najstarsza opowieść świata, wpisana w sam rdzeń ludzkiej natury: On chce, abyśmy byli domem.